

Rafał Marszałek

## Acheron

W przeddzień wyjazdu, Władimira Siergiejewicza przywiało do parku Sokolniki. Skąd tak silny podmuch wiatru – nie było wiadomo. Zjawił się nagle, zadał, wymłócił, a potem raptownie ucichł. Łatwiej wytłumaczyć, dlaczego w tym właśnie miejscu zabłąkał się Władimir. Otaczały go alejki znajome jeszcze z dzieciństwa. Niegdyś były, a może tylko wydawały się, szerokie i okazałe. Z biegiem lat brzydły, zarastały krzywą, przypadkową roślinnością. Nie tak dawno przywrócono je na powrót do łask *Mossowietu*: wyrównano, wypucowano, odnowiono. Po ścieżkach, jak zawsze, kłusowali zasapani *fizkulturnicy*. Szczytowali bez przyjemności, ale z patosem należnym obywatelskiemu obowiązkowi. Tuż za niskim żywopłotem jak spod ziemi wyrastali szachiści. Tkwili na tych samych, co kiedyś ławkach. Jak rybacy, którzy wierzą, że ryba bierze na kilkunastometrowej przestrzeni, jak żulicy, którzy znajdują się bez zbędnych słów i mitręgi. Wołodia (od dawna już niestety Władimir) zbliżył się do nich bez pośpiechu. Stał nieopodal i z niewielkiego wywyższenia spoglądał na skłębiony tłumek graczy i kibiców. Kiedyś zainteresowałyby go pozycje na szachownicy; zapalki dyskretnie wycierające spod szachownic – *klejonek*; zegary – te z poprzedniej epoki, wysokie i majestatyczne i te nowsze, zagranicznej produkcji, przemysłnie, o kilkanaście sekund podkreślone. Na grających pewno nie zwróciłby specjalnej uwagi. Teraz odwrotnie. Najbardziej ekscentryczne ustawienie figur nie miało dla niego tajemnic. Ludzi rozpoznawał tylko po mechanicznych gestach. Nie po twarzach. To smutne, ale wszystkie one, co do jednej, były już nieznajome.

Postał przez chwilę przy grających i bez pośpiechu zawrócił. Upewniwszy się, że nie ma już czego szukać (drażniąca myśl: jeśli tego właśnie spodziewałem się, to co u diabła tu robisz?), poszedł ku parkowej bramie.

Kilkaset metrów od wyjścia zderzył się ze staruchą uginającą się pod ciężarem worka. – Obsłuż jeszcze jedną – zaklął w duchu Władimir, z przyzwyczajenia wyciągając pomocną dłoń do niewiasty. W ostatnich latach otaczał go babiniec, któremu trzeba było na różne sposoby dogadzać. Kiedyś, w każdej sytuacji można było liczyć na kobiety, silne i robotne. Dzisiaj każda na coś narzeka, kwęka, choruje – pożytku już z nich nie ma. Posiadaczka worka odetchnęła z wdzięcznością. W dziękczynnym uśmiechu odsłoniła złoty ząb, firmowy znak radzieckiej stomatologii. – Co tam dźwigacie? – A spójrzcie tylko, ile tego dobra nazbierałam. Starucha hojnym gestem otworzyła worek i na widok jego zawartości Władimir zaklął w duchu. Z parcianej, zawilgoconej czeluści wychynęło kilkanaście kilogramów jabłek. Prawie wszystkie były zbite, część z nich już dawno przegniła. – Warto było? – zapytał Władimir z nie udawaną surowością. Wpędził się w głupią pułapkę, do bramy dzieliło go sporo – niewiele kosztowały, więc skorzystać warto. A i struclę da się z nich zrobić podług domowego przepisu. Wiecie jak?

Władimirowi ciążył worek, struclowy przepis puścił koło uszu. Pół biedy, jeśli stara żyje samotnie. Ale jeśli ma wielu domowników, a za chałupą tylko jedną dziurę w betonie? Strach pomyśleć, co się będzie po tej uczcie działo. Poczł się jak współwinny masowego

trucicielstwa. Przyspieszył kroku, u celu zrzucił jarzmo ,mruknął *Zdorowo* , nie czekając na ponowne podziękowania i nie oglądając się za staruchą. Po chwili jednak rzut oka za siebie. Dama radośnie dreptała ze zdobyczym workiem, jakby jej było spieszno na własne weselisko.

Myśl o biedzie wróciła do Wołodii późnym popołudniem. Dołączył do zawodników, którzy opanowali cały wagon pociągu relacji Moskwa - Sankt Petersburg. No właśnie : dokąd jedziemy ? Do Leningradu, jak zawsze, czy do Pitra, jak przyjęto nazywać to miasto od niedawna ? Dla starszych rzecz była oczywista . Wzruszali ramionami : od urodzenia towarzyszył im Leningrad. Nowo przywrócona nazwa Petersburga to tylko snobistyczny wymysł, jakich wiele w dzisiejszych, zwariowanych czasach. Młodzież, odziana w dziwne koszulki z angielskimi napisami ( raz tylko trafił się wizerunek Che Guevary ) bezczelnie droczyła się ze starszyzną. Według nich warto było trzymać się dziedzictwa Piotra Wielkiego. Obronił miasto przed Szwedami, a rządy twardej ręki wprowadził po to ,by otworzyć kraj na Zachód. Owszem, kazał golić brody, wprowadził podatki za noszenie rosyjskich strojów , ale czy to w końcu coś złego ? Inaczej , ten rudy przybłęda. Młodzi wyśmiewali Włodzimierza Iljicza jako patrona starej rosyjskiej stolicy. Drwili ze szturm na Pałac Zimowy ( gdyby podwoić broniący go kobiecy batalion, to nawet baby dałyby radę napastnikom). Nucili sprośne kuplety o historycznym wystrzale z Aurory. Nie można było tego słuchać bez gniewu. Arcymistrz B. , dobrze w czasach *Sojuza* odżywiony i najwymowniejszy z wagonowych słowianofilów, na próżno usiłował trącić patetyczną strunę.- Spójrzcie jaka nędza, straszliwa nędza rozpościera się wokół – powtarzał głębokim barytonem. Pulchną ręką zataczał szeroki łuk ku pejzażowi za oknem. A tam bezkresne i bezludne równiny : widać ludność wyginęła pod rządami demokratów.

Cóż z tego, że przyjacielowi ludu skłonni byli tu przytaknąć nawet niektórzy antagoniści. W chaotycznej i jałowej dyskusji nie o prawdę chodziło, nawet nie o walkę pokoleń ,ale o ukryty podział ról. W gruncie rzeczy - pomyślał Władimir - wszystko zależy od tego, jakich kto i gdzie miał dziadków i rodziców. Czy zaznali oni dobrodziejstw płynących cichym , ożywczym strumieniem z okolic *rajkomu* , komitetu *gosbezopasnosti* albo choćby *sportkomitetu* , czy też doświadczyli obozowych, syberyjskich niewygód . Czy bezpiecznie, zdrowo i dostatnio przeżyli, czy po prostu nie dożyli. To rozumowanie Wołodii , bezwiednie przejęte od Fryderyka Engelsa i jego sławnego brodatego utrzymanka, nie przyoblekło się jednak w słowa. Władimir Siergiejewicz był bardzo słabo obeznany z historią . Nie było też powodu, żeby go pytać o polityczne opinie, bo zawsze z szacunkiem odnosił się do każdej władzy. Wzrastał i żył pod Moskwą wśród spokojnych, porządných ludzi , sam również był dobrym człowiekiem. Teraz omijał podszyte wrogością kolejowe swary. Siedział przy oknie osowiały. Od rana drażniło go ,że robi rzeczy przypadkowe. Tak jak najpierw stracił czas w sokolnickim parku, tak teraz nie wiadomo po co, skusił się na męczącą podróż. W dodatku te przypadkowe decyzje natychmiast zastęgały w jakiejś koleinie. Wjeżdżało się w nią machinalnie i bezmyślnie , tak jakby cel był już z góry dany.

Szachiści dwóch miast spotkali się dwukrotnie jeszcze za cara Mikołaja, przed pierwszą wojną. Potem ,w burzliwym roku siedemnastym, Moskwa grała z Piotrogiem. W końcu w ojczyźnie bolszewików moskwicze zaczęli corocznie potykać się z reprezentacją Leningradu. Oprawa tych meczy była zawsze okazała. Niektórym dyskretnie patronował sam *narkom justycji i generalnyj prokurator* Krylenko. Mimo że w trzydziestym ósmym życiu mu odebrano ( Stalin dał, Stalin wziął ) , wszystko zostało po staremu . Prestiż rywalizacji Moskwy i Leningradu ostał się przy różnych nawałnicach. Na otwarciu zawodów zawsze pojawiał się ktoś z władz miejskich , czasem zdarzał się nawet któryś z sekretarzy *politbiura*, przynoszony

dla ozdoby jak choinkowa bombka. Radio i gazety, a w późniejszych czasach telewizja, dawały sążniste reportaże z rozgrywek. To wszystko dopiero za Gorbaczowa zbladło, a za Jelcyna prawie zanikło. Nie było w tym zresztą niczyjej złej woli. Po prostu odemknięto granice. Już nie tylko Węgry i Bułgaria czekały na rosyjskich łowców nagród, ale cały Zachód stał dla nich otworem. W czasie gdy jedni, posłuszni i gapowaci godzili się grać w tradycyjnym meczu dwóch stolic na czterdziestu szachownicach, inni, naprawdę przedsiębiorczy, w Bagneux albo w Madonna di Campiglio siedzieli nad kalkulatorami, licząc przed ostatnią rundą korzystne podwálki i przewálki – zawsze uzbierało się z tego dobrych osiemdziesiąt, czasem i sto pięćdziesiąt dolarów zysku.

Trudno więc się dziwić, że tego roku mecz zorganizowano na peryferiach Petersburga. Przybysze ze stolicy, a nawet niektórzy miejscowi, długo krążyli po uliczkach, nim trafili pod wskazany adres. Witła ich niska i ciemna sala, na co dzień służąca za zakładową stołówkę. Nad kuchennym okienkiem wisiał kawałek brystolu z wypisanym niewprawną ręką napisem „Witamy uczestników tradycyjnego meczu”. Pызata bufetowa miłym uśmiechem wynagradzała zapach idący z kuchennych czeluści (przedwczorajsze mielone z dzisiejszym makaronem, czyż doczekamy się, żeby przynajmniej było odwrotnie). Poza tym na sali żywej duszy, ani pół oficjela. Żadnego przecinania wstęg, żadnego gadania o niesłabnącej przyjaźni. Skrzyknęliście się tu znowu, nie przeszła wam dziecięca ochota, żeby się klockami bawić, no to sobie grajcie.

Wiedziony smutnym przyzwyczajeniem Władimir Siergiejewicz powędrował od razu w kąt sali, prosto do stolika numer trzydzieści siedem. Jeszcze kilka lat temu siadało się wyżej, dzisiaj człowiek się cieszy, że w ogóle wystawili go w reprezentacji. Czuł się nieswojo. Pewno przyjdzie mu się spotkać z jakimś juniorem. Wygrać z takim nie zasługa, a znów przegrać byłoby wstyd. Przeciwnik Wołodii już siedział za szachownicą, lecz wcale nie był juniorem. Kołysząc szpakowatą głową, niezgrabnie uniósł się dla przywitania. Na widok znajomej, choć niepokojąco zniekształconej sylwetki puls Władimira Siergiejewicza gwałtownie podskoczył. Nie chce się wierzyć: Rzeźnik! Toż to Rzeźnik we własnej, gromowładnej osobie!

W niewysokim, cienkim jak wykałaczką, przygarbionym mężczyźnie o przeraźliwie ziemistej cerze trudno było rozpoznać słynnego niegdyś zabijakę, wieloletnią podpórę leningradzkiego „Lokomotiwu”. Przydomek swój zawdzięczał mechanicznym kaźniom graczy niżej klasyfikowanych; niemal co roku udawało mu się też ustrzelić któregoś z arcymistrzów. Usadowiony dla niepoznaki na dalekim zapleczu drużyny, rąbał wrogów metodycznie, szlachtował bez litości. Zdarzyło się przed laty, że i Wołodia zginął z jego ręki. Rzeźnik tego pewno nie pamiętał. Przy swojej brudnej profesji, przy tyłu niezmywalnych, krwawych plamach na fartuchu, nie interesował się swoimi ofiarami. Zresztą, gdy inni walczyli, ścigali się, zdobywali kolejne tytuły, on tkwił na miejscu, niechętnie opuszczając rodzinne miasto i izolując się od zewnętrznego świata. W odosobnieniu pochylony nad małymi magnetycznymi szachami, dokopywał się jądra rzeczy, a przynajmniej tego, co mu się owym jądrem wydawało. Jak każdy malarz-amator obok kapitalnych idei miewał też jawnie kiczowate. Jedne i drugie chętniej demonstrował podczas tysięcznych blitzów beztrosko klepanych w cieniu parkowego drzewa, niż w poważnych turniejowych partiach. Może dlatego, ciesząc się sławą oryginała porównywalną do genialnego Tatarskiego Niezmiędninowa, nie zrobił sportowej kariery. Mijały lata. Dawniej złościł się na nadaną mu ksywkę i jak mógł, protestował. Dopiero gdy mu zaczęło brakować sił i zdrowia, polubił pseudonim, tak jak i siebie w rzeźnickiej roli. – Oni tam ładnie grają – wskazywał na

koryfeuszy okupujących pierwsze szachownice – A ja ? Cóż, jam podobno prosty rzeźnik, ja tylko tasakiem robię. Mało kto dawał temu wiarę. Zawsze spoglądano na niego podejrzliwie.

Rzeźnik, mimo pięćdziesiątki na karku, nie zdążył spłodzić syna ani zbudować domu. Za to ponoć udało mu się zasadzić imponujących rozmiarów drzewo i to w samym środku metropolii. Szeptana z ust do ust legenda głosiła, że przechodził kiedyś udeptanym przez tysiące nóg traktem, odchylił brukową kostkę zniszczonym obcasem, nagle coś go tknęło, schylił się i od razu znalazł korzeń, który dla innych niewidoczny i nawet nie przeczuwany, wyrastał tuż pod powierzchnią. W ostatniej rundzie cotygodniowego turnieju gry szybkiej, stłoczony w kącie podmiejskiej altanki, naprzeciw partnera, którego nazwiska wcześniej nie znał, a i potem nie spamiętał, wynalazł ideę podwójnej ofiary jakości w systemie niby już doszczętnie spacyfikowanym przez teorię. Wygrał w pięknym stylu, szkoda że prawie nikt tego nie widział. Po dwóch tygodniach pochwalił się znajomemu sportowemu dziennikarzowi odtwarzając partię z pamięci. Żeby nie urazić rozmówcy, mało gramotny dziennikarz udał zachwyt, zapisał przebieg gry na skrawku papieru. W domu z ciekawości wszedł w komputer (komputer prawdę ci powie). Analiza przedstawiona przez maszynę prawdziwie go zaskoczyła. Rok później przypadkowo zetknął się z cudzoziemskim arcymistrzem, sekundantem wielkiego Sotowa w meczu pretendentów o mistrzostwo świata. Tyle się mówi o zmierzchu szachów, a na przykład u nas, na przedmieściach Petersburga, pewien stary majster taką oto rzecz wynalazł.

Cudzoziemiec przyjrzał się amatorskiemu wynalazkowi uprzejmie, acz wyniośle. Na wszelki wypadek zapamiętał jednak, o co szło. W przeddzień meczu poszedł do Sotowa. Znalazł go nad balią przelewającą się od łez i alkoholu: tak to bywa, gdy bezpowrotnie usychają możliwości twórcze. Dla rozweselenia pokazał mu więc zapamiętaną pozycję. Sotow zerwał się na równe nogi, w mgnieniu oka dotarła do niego wartość znaleziska.

Niewiarygodne, ale coś w tym jest! Dalej wszystko już potoczyło się składnie. W partii decydującej o losach pojedynku Sotow, ten wielki myśliciel, po czterdziestominutowym namyśle, cudownie improwizując, wynalazł fantastyczną ideę ofiary dwóch jakości. Piękno w czystej postaci!

Idea Sotowa obiegła cały świat. Przeorała złoża Internetu, pod imieniem wynalazcy zapisała się w teorii szachów. Rzeźnikowi, gdy mocno po czasie o tym się dowiedział, zrobiło się łyso. Dobrze pamiętał, że to przecież w jego mózgu kiedyś wykluło się pisklątko, które teraz zewsząd fotografują. Lecz nie miał partii zapisanej jako dowodu. Nie pamiętał z kim, ją rozgrywał. Mógł się odwołać tylko do jednego, i to przyszywanego, świadka. Coś tam kiedyś, przy okazji, nawet mu nieśmiało o tym bąknął. Bez odzewu. Dziennikarz musiał wybierać między chałupnictwem Rzeźnika i sławą Sotowa; bez skrupułów wybrał to, co się w życiu zazwyczaj wybiera. Więc Rzeźnik jako petersburski wynalazca prochu pozostał bezimienny.

Grający białymi Wołodia zasiadł do partii właściwie bez planu: kto wie, co tamtemu przyjdzie do głowy. Wiedział tylko, że jak najdłużej trzeba unikać bezpośredniego starcia. Wspomnienie stalowych uścisków Rzeźnika sprzed lat nie mogło dobrze nastrajać. Więc spokojnie manewrując bierkami na pierwszych liniach, bez żadnych pretensji rozgrywał otwarcie. Rzeźnik ufny w swoją siłę też się specjalnie nie spieszył. Obaj budowali swoje twierdze w oddaleniu od przeciwnika, lustrowali szyki, napawali się ich nienaruszonym jeszcze wyglądem. Nie wcześniej niż po pół godziny zaczęła się z tego wyłaniać przyszła bitewna architektura. Jej zarysy zrazu mgliste, z każdym ruchem nabierały wyrazistości. Gdy Wołodia ogarnął spojrzeniem całą mapę, serce znowu zabiło mu żywiej. Przed sobą miał coś doskonale znajomego: otwarcie staroindyjskie, jadowite, a przy tym już dzisiaj rzadko

grywane . Wątpliwe żeby Rzeźnik, gardzący turniejowymi księgami , miał o nim choćby blade pojęcie . Dość spojrzeć : jego ospałe ,niestaranne ruchy nie były tym razem udawane . Niczego nie podejrzewając Rzeźnik wolnym krokiem zbliżał się do ciemnego labiryntu . Wyjście można znaleźć tylko wtedy , gdy się wcześniej, bardzo uważnie przestudiuje plany. Rzeźnik jako zapobiegliwy, staranny badacz ? To byłoby wbrew naturze.

Władimir Siergiejewicz , należycie skupiony , ale też uspokojony dotychczasowym rozwojem zdarzeń, wyobraził sobie ,że prowadzi swoje wojska przeciw Rzeźnikowi – wodzowi buntowników. Zobaczymy czy Rzeźnik będzie jak zwykle chuliganiał .Wyciągnął z teczki jabłko, sięgnął po nożyk, dokładnie, bez pośpiechu obrał owoc ze skórki, wprawnie pokroił go na równe, niewielkie części. Zapropomował partnerowi poczęstunek. Rzeźnik zbył go nieznacznym potrząśnięciem głowy.- A wiesz ,nie dziwię ci się, kochanienki – powiedział do siebie Władimir Siergiejewicz, nagle rozweselony – Dziś ty będziesz moim jabłuszkciem. I to całkiem dorodnym. Łypnął okiem na przeciwnika i tym razem omal nie wybuchnął śmiechem. Oto Rzeźnik majestatycznym, dostojnym ruchem postawił na stoliku termos z herbatą. Nie w tym rzecz ,że termos był stary i poszczerbiony. Komiczne było to ,że Rzeźnik szukał dostojństwa przez naśladownictwo – nieudolne, bo sprzeczne z jego mołojecką naturą. A przy tym bardzo spóźnione.

Po dostojnym nosicielu legendarnego termosu zostało świeże wspomnienie. Pierwszego maja roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego , trzykrotny mistrz świata Michaił Mojsiejewicz Botwinnik ze smutkiem i zbrzydzeniem oglądał w telewizji reportaż z obchodów święta ludzi pracy. Gdzieniegdzie jakieś pikniki i capstrzyki. Przewalające się po ulicach tłumy zubożnianych mieszczuchów, zbiorowe obżarstwo lodami, zewsząd upiorne dźwięki rock kapeli. Tylko na Twerskim Bulwarze setka bohaterkich starców skupiona pod czerwonym sztandarem i transparentem „*Dalój kapitalizm*”. Idą powoli, nieskładnie wyśpiewują bojowe pieśni, niektóre jeszcze z czasów Budionnego. Pięciu milicjantów oddziela pochód od młodocianych gapiów, którzy jak umieją, tak podrwiwiają z towarzyszy. Szkoda na to patrzeć, żal ściska serce. Michaił Mojsiejewicz , położył się na łóżku i zamknął oczy ,jak mu się coraz częściej ostatnio zdarzało. Tym razem jednak postanowił już więcej nie wstawać. *Chwatit' , uże nadojelo.*- No jakże to tak , Misza ? - Nie, powiadam, i już . Nie zamierzam wstawać . Domownicy są w szoku, załamują ręce. Nie ma nawet z kim podzielić się złą nowiną. Kiedyś ta decyzja byłaby wielkim wydarzeniem, ale nie teraz. Dawno opuszczony przez Józefa Wissarionowicza, potem stopniowo zapominany przez władze i naród, wielki szachista nie zamierzał wcale obnosić się ze swoim odejściem. Skoro uroczystego pogrzebu zabraknie, to najlepsza będzie intymność. Michaił Mojsiejewicz wymógł to na rodzinie. - Na cmentarzu oprócz was – nikogo ! - A co z wierną szachową bracią ? - Kto zechce, i tak znajdzie drogę. Zlecają się jak wróble - powiedział Botwinnik po raz ostatni odmykając powiekę. Zrozumiano go i posłuchano jak zwykle. Jak zwykle też Michaił Mojsiejewicz miał rację.

Tyle tylko ,że wróble zleciało się jakoś mało. Na Gogolewskim Bulwarze pod numerem 14, przed budynkiem Centralnego Klubu Szachowego, zebrało się razem z Wołodią może z dwudziestu moskiewskich towarzyszy broni. Oprócz nich serbski arcymistrz rozkochany w Rosji i pewien Polak rozmodlony w rosyjskich szachach. Ulica była prawie pusta . Na przeciw klubu żółto brunatny wóz oczyszczania miasta monotonnie obracał wielkimi szczotkami. Po jakichś czterdziestu minutach pod klubowy budynek podpełznął niewielki ,dychawiczny autobus. Drzwi otworzyły się i na znak kierowcy oczekujący gęsiego wdrapali się do środka. Michaił Mojsiejewicz tkwił samotnie w końcu autobusu. W czarnej

skrzyneczce przypominającej kolebkę sam wydawał się mniejszy. Nie wyglądał na kogoś, kto się szczególnie spieszy. Pod rękoma skrzyżowanymi na piersiach zabrakło odznaczeń i orderów. Nie było Znak Chwały, ani Czerwonego Sztandaru Pracy, ani Orderu Rewolucji Październikowej, ani nawet Orderu Lenina. Botwinnik nie zabrał ich w ostatnią drogę, choć kiedyś były dla niego powodem do dumy. Żegnając się z szachistami, widocznie chciał zaznaczyć, że jego majestat nie pochodzi z urzędowego świata. Żałobnicy, ostrożnie ważąc każdy krok, jeden po drugim zbliżali się do miejsca, w którym zazwyczaj stoi dziecięcy wózek. Michaił Moisiejewicz lustrował ich łaskawym spojrzeniem. Spod sklejonych powiek W położeniu, w którym się znalazł, nie mógł już uruchomić swojej sławnej pamięci. Nie potrafił odróżnić znajomego od nieznanego, renomowanego gracza od wytrwałego kibica. Wszystkim bez wyjątku należała się życzliwość, jeśli nie wdzięczność nawet. Przydałoby się i dobre słowo, ale z tym właśnie wyłonił się kłopot nie do przezwyciężenia. Poważne, marsowe kiedyś oblicze Botwinnika na chwilę nabrało miękkich, ojcowskich rysów. Tak jakby mistrz globu dawał znać swoim przyjaciołom, że epicentrum świata nie przypadkowo znalazło się właśnie tutaj, między podłogą a niskim dachem odesłanego na emeryturę, miejskiego autobusu. Jechaliśmy zawsze razem, ale teraz czas na mnie, mam przesiadkę. Speszni tak krótkim spotkaniem niedoszli pasażerowie wysypali się z powrotem na chodnik. Opustoszały autobus tłumiąc arytmię ruszył w kierunku Sadowej. Szofer wozu asenizacyjnego, jeden z tych tysięcy graczy pierwszej kategorii, którymi wielka Rosja stoi, też natychmiast włączył silnik, gotów dołączyć do żałobnej eskorty. Lecz jak nagle ruszył, tak się raptownie zatrzymał. Trwał pod wrażeniem doniosłej chwili, ale chyba onieśmieliła go samotność Botwinnika.

W przeciwległym rzędzie, tuż naprzeciw Wołodii i Rzeźnika, przy stoliku numer dziewięć, rozpierało się dwóch młodzieńców o dumnych obliczach. Ich nazwiska i tym razem nie mówiły nic Władimirowi, choć wizytówki arcymistrzów, tak wcześniej zdobyte, powinny budzić szacunek. Jeśli nie one, to przynajmniej towarzyszące im cyferki 2500 i 2490. Młodzi nosiciele numerków, w odróżnieniu od więźniów obozów koncentracyjnych, zdawali się napawać podobnym nadaniem. Zupełnie inaczej niż Władimir Siergiejewicz i jego partner, zaopatrzeni w podobne, tylko niższe o dwieście punktów numery rankingowe i zdziwieni samą ideą numeracji. Rzeźnik nawet nie spojrzął, jakie miejsce przyznano mu w obozowej hierarchii. Wołodia, owszem sprawdził, ale zamiast oddać hołd młodemu geniuszom, odbiegł ku własnej młodości.

Ustawione na stolikach tabliczki z nazwiskami graczy kiedyś mówiły same za siebie. Bywało ich co najwyżej kilkanaście, nie kilkadziesiąt jak dzisiaj. Raczej dla formy wskazywały na siedziska graczy. Oni sami nie musieli się przedstawiać, byli powszechnie rozpoznawalni. Otaczał ich nimb rycerskiej sławy. Nikt kiedyś nie mógł pomylić Dawida Jonowicza z Paulem Pietrowiczem, tak jak później Wiktora Lwowicza z Borysem Wasiljewiczem. Tytanów wyróżniały nie tylko charakterystyczne sylwetki, ale styl niepowtarzalny, nie do podrobienia. Ich tajemne pomysły w kulminacyjnych momentach eksplodowały. Budziły zachwyt na zatłoczonej, teatralnej widowni, uzasadniały fosforyzujący nad sceną napis „*Sobludajtie tiszinu!*” Przenikały do turniejowych biuletynów, a stamtąd do grubych, niskonakładowych książek. Rzeźbiły krajobraz i jednocześnie składały się na kanon.

W ostatnich dekadach dwudziestego wieku to się zaczęło powoli zmieniać. Wysokie wzgórce, na którym stała garstka arcymistrzów, okrążyły i podmyły coraz liczniejsze potoki. Z dołu nadciągał tłum nowych kolonistów – chciwych zysku, a uzbrojonych i zaopatrzonych znacznie lepiej niż ich poprzednicy. Postęp technologiczny jednak nie wystarczał, bo dla tej ludzkiej masy brakowało na szczycie miejsca. Dobijając samochodami, a co zamożniejsi

helikopterami na wierzchołek Mount Everestu , kolejni turyści znajdowali obok zębów egipskich piramid porzuconą aparaturę hi – fi. Antycznym posągom odrabano już, co nie trzeba i wylupiono źrenice. W stoisku z pamiątkami kuśły t-shirty z napisami „I am Edmund Hillary” i „Reinhold Messner Group” . Niewprawnym lub szczególnie roztargnionym wspinaczom oferowano maski tlenowe po wygórowanych cenach. Tuż nad przepaścią wbijała się w skałę awangardowa budowla zaprojektowana przez brazylijskiego architekta kosztem miliarda dolarów ; szyld Mc Donalda jak sztandar niepodległości rwał się ku niebiosom. Dosyt przenikał się z przesytem. Cóż z tego ,że w kawiarenkach internetowych zainstalowano przemyślnie urządzenia wieszczące dalszy postęp. Przystawała cieszyć plotka o rychłej instalacji aparatury nadawczo-podsłuchowej ,pomocnej graczom. Jeśli tak miało się z owsa robić ryż, a z fuszera arcymistrza , urok współzawodnictwa nieuchronnie zanikał.

Nowa generacja zdobywców , w ciżbie, chaosie i pośpiechu, zaczęła się organizować, porządkować, grodzić. Do dawnych tytułów szlacheckich doszły nowe, zrazu pracowicie zdobywane, później po prostu kupowane na targu. Wypisywano je na tabliczkach pod nazwiskami w nadziei ,że rzadziej publiczna odróżni jednego nuworysza od drugiego. Temu samemu celowi służyło wprowadzenie cyfrowego rankingu. Znalaziono matematyczny sposób by zdobyte działki oznaczyć wedle skali bogactwa. Fałszywy arystokrata z dorobkiem 2520 punktów demonstrował swą wyższość nad dorobkiewiczem, który zdołał zgromadzić zaledwie sto punktów mniej. Te notowania, jak na giełdzie, zmieniano w stałym rytmie. I jak na giełdzie posługiwano się wirtualnym pieniądzem. Zdarzali się oczywiście dziwacy tacy jak Władimir Siergiejewicz i Rzeźnik, jeszcze kilku im podobnych. Stare łążęgi z marginesu : z nimi nawet zahandlować się nie dawało. A skoro wiedzieli o istnieniu złotych monet bitych jeszcze w dziewiętnastym wieku, to dlaczego dożyli dojrzałego wieku z pustymi kieszeniami? Biedaczyska.

Oddziały buntowników szły forsownym marszem po liniach a,b i c. Nieprzypadkowo tam właśnie. Mimo bitewnej euforii nikt się nie odważył atakować bezpośrednio na carskim skrzydle. Wieżycy Kremla coraz wyraźniej wyrastające z mgły, jasno sine u poranka, zadziwiały swoim ogromem, budziły jakiś lęk pradawny, trudny do stłumienia.. Co innego wraz z innymi wrzeszczeć o pojmaniu cara, co innego tak blisko podejść do wrót carskiego pałacu. Kto pierwszy w nie ugodzi, ten ryzykuje straszną , nieznaną karę, rozciągającą się na pokolenia. Czerń krzykiem zagłuszała narastający strach . Biły bębny, rozrywały powietrze tatarskie piszczałki. Buntownikom tylko z tego hałasu przyszło czerpać siłę. Nie mieli przecież nawet jednolitych mundurów, ani sztandarów. Zaś biała piechota, wbrew spodziewaniu , stała nieruchomo na wyjściowych pozycjach. Kto wie, może i oni się bali. Jednak cisza na froncie robi zawsze wrażenie. Tutaj, na hetmańskim skrzydle, ta cisza i ta nieruchomość, były naprawdę złowrogie.

Martwy, obezwładniający upał zalegał też na drugim skrzydle. Na pozór nic się nie działo. Car Władimir I w łaskowości swojej zlecił przegrupowanie konnicy na pierwszej linii. Zadanie było tak proste, że powierzono je najgłupszemu z generałów ( dumny z siebie niezadługo utraci dowództwo w godzinie szarży ). Spieszeni kirasjerzy lejbgwardii rozwinęli szyki na kolumnie f. Nie spieszyli się, bo już nie raz podejmowali podobną marszrutę Połowa z nich pozostawała przy tym ciągle niewidoczna. Dziwaczne przegrupowania mimo wszystko zwróciły uwagę wodza buntowników. Rzeźnik pochylony nad sztabową mapą raz po raz kierował lornetę ku kremlowskim basztom. Własnym czułkom dowierzał bardziej niż raportom zwiadowców. Intuicja mówiła mu zaś, że w bezruchu kryje się coś niedobrego. Żywiołem Rzeźnika była walka wręcz, rąbanina, siekanina, a jeśli już palba to z bezpośredniej odległości dwóch metrów. W zamęcie bitewnym o ileż prawdziwszym od

układu chorągiewek na mapie, w nagłych atakach i błyskawicznych unikach, w ruchach nie wyuczonych, lecz wspaniale zwierzęcych – wyjawiała się nieposkromiona siła Rzeźnika. Maląła zaś ona i gasła w okopach wojny pozycyjnej, monotonnej, usypiającej i w swoim przebiegu niezrozumiałej. To niebezpieczeństwo właśnie teraz chyba nadciągało. Bezruch został pewno wymyślony przez mądrale – carskich generałów, żeby niepostrzeżenie, cichaczem zarzucić sieć na buntowników. Uprzedzenie tego uderzenia byłoby zbyt ryzykowne, skoro tyraliery piechoty poszły już hetmańskim skrzydłem, a za nimi ustawiono artylerię. Pozostawało wystawić podwójne warty, sprawdzać je nocą i czekać.

Około czwartej nad ranem, w godzinie włamywaczy i policjantów, wódz samotnie obchodził wysunięte posterunki. Pod zakryciem płaszcza i ciemności, stawał się bardziej niż zwykle niepozorny. Wartownicy kryli się przed wiatrem w płytkich załomach chatynek. Tylko niektórzy dzielili półsen z gołą ziemią; na odgłos zbliżających się kroków podrywali się gwałtownie. W ogóle było cicho. Z góry opadała na żołnierzy pokrywa jakiegoś bezkresnego namiotu - ciemnognatowa i nieprzyjazna. Za to dołem, solidarnie połączona, roznosiła się swojska woń machorki, samogonu i uryny. Zamiast spoglądać ku nieprzeniknionemu niebu, Rzeźnik wchłaniał te uspokajające zapachy. Może niebezpieczeństwo, napędzane przecuciami, tylko mu się przywidziało? Trwał dalej w oczekiwaniu, gwałcąc swoją porywczą naturę.

Car Władimir I zostawił na chwilę Rzeźnika z jego strapieniami. Przed sobą miał sylwetki graczy wijące się w dwóch długich szeregach stołów i krzeseł. W zapadającym półmroku (i tu oszczędzano na elektryczności) najbardziej oddalone z nich były zdeformowane. Zwolniony, nieregularny ruch raz za razem mylił ich kształty. Siergiejewiczowi wcale nie spieszo było do chwili, gdy na sali rozżarzą się światła. Półmrok pozwalał mu związać miejsce z utraconą przeszłością. Postaci otaczających go ludzi nie musiały być obce, jak mu się poprzednio zdawało. Bitewna energia, tak niespodziewanie odzyskana, miała w sobie coś młodzieńczego. A sam Rzeźnik, pochylony nad szachownicą, bezgłośnie skrzykując swoich rozproszonych żołnierzy, toć przecież ciągle ten sam postrach młodości – zabójca o twarzy pomarszczonego dziecka. Nadal ten sam świat. Te same doznania podszyte na przemian niepewnością, lękiem, nadzieją i żądzą krwi. Zaskakujące fajerwerki myśli i omamy pamięci. Sekundy triumfu przetykane piołunami. Dużo emocji. Bezustanny, chociaż z zewnątrz niewidoczny ruch. Wrażenie pędu. Obłąkańcza, jak to u dzieci, jazda po wykrotach. Nic złego żadnemu z nich się nie stanie, umorusane i szczęśliwe wrócą bezpiecznie do domu. Dopiero po latach któreś z nich niespodzianie zatrzyma oleista plama, niewidoczna na rozświetlonym asfalcie.

Trzeci batalion sławnego Siemionowskiego pułku forsownym marszem wyszedł naprzeciw buntownikom. Nazywało się to rozpoznaniem w boju, a ta nazwa rzadko wróży coś dobrego. Dopóki szli tyralierą przez gęsty zagajnik, grenadierzy nie czuli na sobie ciężaru. Dopiero po przejściu następnego kilometra mieli się przekonać, że wąska nitka opatrzona na mapie literą „h” jest bezdrzewną równiną. Mundury o odcieniu ciemno trawiastej zieleni jeszcze teraz ich maskowały, ale potem, mogły stać się łatwym celem na szarej, zakurzonej drodze. Instynktownie zwolnili kroku, wiedząc, że jeszcze chwila a jeden celny wystrzał armatni mógłby ich zniszczyć. Tylko kilkunastu weteranów z czasów wojen napoleońskich zachowywało zimną krew. Buntownicy nie wystawią przecież starej gwardii, ani nie wyślą w bój zwinnych mameluków; toż to zwykły motłoch kryje się naprzeciw. Ale reszta piechurów, nie mogła wiedzieć, co zastanie za fortyfikacjami wroga, jeśli w ogóle do nich dotrze. Na szpicy oddziału biegł mały dobosz przebiegając coraz szybciej pałeczkami: marsowa mina, zaschnięte gardło, łopot w sercu.



To dziw, ale wcale nie szli na zgubę ; jeszcze nie dzisiaj. Ratowało ich właśnie to ,że byli tak doskonale widoczni. - No cóż, gość w dom, Bóg dom – powiedział wódz buntowników , na widok siemionowców osiagających granicę lasu . Cicha, lepka słodycz jego głosu zmyliła dowódcę konnicy, który rzucił się ku swoim z rozkazem, by gotowali się do szarży. Rzeźnik zaraz musiał więc krzyknąć, że źle go zrozumiano. To, co przed nami, to tylko pusta demonstracja. Nie warto marnować energii na garstkę piechurów wystawionych na wabia. Poczekamy co dalej. A tymczasem posiłki trzeba wysłać na hetmańskie skrzydło.

Dokonując ostatniego przegrupowania Władimir Siergiejewicz raz po raz spoglądał spod oka na Rzeźnika. Był pewien ,że tamten już wreszcie zwietrzył niebezpieczeństwo, ale przewidzieć nie równa się zaradzić. Głowa Rzeźnika, nieproporcjonalnie wielka w stosunku do mizernej postaci, wyrastała tuż przed Wołodią. Rzecz trochę podobna do spłaszczonego globusa. Czołowe i potylicowe guzy uwypuklały charakterystycznie wydłużoną czaszkę ; spletały się z siecią delikatnych, błękitnych drożynek. Ciekawe byłoby dowiedzieć się , co tętni pod tą dziwną czaszką. Są tam podobno inne uwypuklenia zakrętami zwane . Są bruzdy i szczeliny podobne do tych, które spotykamy wędrując po terytorium matki – ziemi. Jest tajemnicza istota biała otwierająca przejście dla skojarzeń . Jest i droga czuciowa oznaczona jako wstępująca. Przez te ukryte bruzdy i szczeliny, przez ostre zakręty przedziera się teraz Rzeźnik ze swoimi myślami i uczuciami. Nie sposób ich wysławić ; zresztą gnuśne i zbląkane w labiryncie właśnie traciły znaczenie. Zrobiło się późno. Zapachniało krwią. Konie rwą się o galopu..

Bunt zduszono zanim zdążył buchnąć ciemnym płomieniem. Zza kremlofskich fortyfikacji z oszalamiającą szybkością wyłoniła się kawaleria. Najpierw Głuchowski pułk pojawił się w kwadracie g5 . Zaatakowany z linii h przez piechotę, ku zdumieniu buntowników, wcale nie odstał, zupełnie tak jakby dobrowolnie oddawał się na zgubę. Lecz gdy tylko utonął pod bagnietami, natychmiast na jego miejsce wtargnęli siemionowcy, przed chwilą tak lekceważeni. Za nimi najważniejszy carski oddział zwany *Fierziewym*, a zaraz potem wyborna jazda Astrachańskiego pułku. Złociste kaski, epolety i czapraki roztopiały się w pełnym słońcu, kirasjerzy gnali przez wzgórze g4 prawie niewidoczni. Kiedy dotarli do kwadratu f6 powtórzyła się sekwencja z pułkiem Głuchowskim. Konnica zniknęła w dymie i pyle, a po opadnięciu kurzawy rebelianci stanęli oko w oko znów z przeklętymi siemionowcami. Wyjście z kotliny zostało zablokowane, carska piechota stłamsiła wroga żelaznym uchwytem. Po otwartej kolumnie „h” nieubłagane nadciągał już *Fierzewy* wraz z następnymi szwadronami ciężkiej jazdy.

Dopiero teraz dowodzący buntownikami rozumiał ,że materialna przewaga , tak podejrzanie łatwo zdobyta, nigdy się już nie przyda. Główne siły, posłane lekkomyślnie na hetmańskie skrzydło w ślad za piechotą , utknęły gdzieś daleko między Borysowem a Tarutinem. Gdyby nawet można je było jakimś czarodziejskim sposobem stamtąd wycofać, to nie zdołałyby się przedrzeć się przez wiejskie drogi przemienione w zagracone, wyrzuczone pobojowisko. A wokół głównej kwatery pole bitwy przerażająco opustoszało. Nie było już żadnej obrony. Środkiem wsi biegli hurmem piechury z Siemionowskiego. Strzelali na oślep w okna chat, widać zabarykadowanych w złej wierze i w poczuciu winy. Kirasjerzy płazowali przemykające ku domom wieśniaczki, przerażone, rozgdakane kokosze : odechce im się karmić i poić przestępców. Z przeróżnych zakamarków, z komór, strychów, nawet wygódek, wyciągano tych *miateżników*, którym się zdawało ,że zdołają oszukać los i miłościwego cara. Skamleli o litość, rżnięto ich sprawiedliwie, bez specjalnego gniewu. Inni do końca trzymali fason. Ginęli pod bagnietami i szablami bez słowa skargi . Uprzedzano ich

przecież ,żeby nie bluźnić przeciw Najjaśniejszemu. Stało się, trzeba teraz życiem za straszny grzech zapłacić.

Przywódca buntowników wyszedł do ostatniej walki wymachując długim , wąskim kawałkiem niepotrzebnej już stali. Na twarzy miał ironiczny uśmiezek. Nie lękał się śmierci , tej roztargnionej wojennej kumpelki. Panicznie bał się ,że go wezmą żywcem i powiozą w klatce do Moskwy na długie, przedśmiertne tortury, jak kiedyś Sieńkę Razina. Chciwa, tępa gęba pierwszego z nacierających jeźdźców obudziła w nim nadzieję. Rozerwał koszulę na piersiach. - Na co czekasz : bij swołocz, uderzaj – krzyknął do kirasjera. Tamtego nie trzeba było namawiać. Kazano mu brać wroga żywcem, ale przecież nie po to się natrudził. Raz tylko trafia się podobna gratka. Podniósł się lekko w strzemionach, by zaraz szybko się pochylić. Cięcie szabli było nonszalanckie , prawie niedostrzegalne. Spocony łeb *miateżnika* odpadł od tułowia, potoczył się po ziemi jak arbuz rozpołowiony na treningu.

*Hujnia* – wychrypiał Rzeźnik rozrzucając szachy z taką złością ,że kilka figur potoczyło się aż na podłogę. Wyciągnął rękę do Wołodii nie na znak poddania ( nigdy się nie poddawał ) , ale dla potwierdzenia klęski . Szerokim, nieczytelnym zawijaszem rozpiisał się na blankiecie. Jeszcze raz, głośno rzucił grubym słowem. Władimir spieszył się , wiedząc ,że Rzeźnik nie zwykł przeklinać. Szczawiki ze stolika numer dziewięć , nieświadome niczego , rozbawione i uszczęśliwione, oderwały się na moment od gry. Nadbiegł sędzia, w odległej przeszłości wielokrotnie niszczonej przez Rzeźnika. jako gracz drugiej kategorii. Nadarzała się okazja, aby pomścić dawne upokorzenia. Gdy tylko pojawił się na miejscu zajścia, od razu się jednak wycofał. Wystarczyło spojrzeć na Rzeźnika : rozchełstana koszula, zlana potem głowa, ziemista, wągrowata cera , rozgorączkowane oczy. Lepiej dać spokój.

Zatroskane spojrzenia Władimira i sędziego spotykają się. Z ich pomieszania wyłania się obraz pojutrzejszy. Jeden z nich wie, drugi domyśla się , że Rzeźnik od niepamiętnych czasów sam mieszka. Pół biedy, jeśli słabość dopadnie go w dzień powszedni ; wtedy może doczołga się do sąsiadów. Ale takie rzeczy zdarzają się zwykle w soboty , gdy ludzie przed upałem uciekają z miasta. Czując ,że coś rozpalonym żelazem rozrywa mu głowę ,człowiek spod siedemnastki ostatkiem sił wypełza na korytarz. Chce krzyżeć ,ale odbiera mu mowę. Dopiero po kilkunastu minutach ktoś wreszcie potyka się o leżącego ; *skoraja pomoszcz* przybywa po następnych trzydziestu. Szpital przepelniony ,więc rzucają chorego jak tłumok na łóżko w korytarzu. Na więcej on chyba zresztą nie zasługuje. Ledwo ubrało się go w piżamę, natychmiast zalewa się ekskrementami. Półprzytomny wrywa się salowej. Chce dokąś biec, gdzieś uciekać. We dwie z siostrą nie mogą sobie dać rady z przeklętym dziadygą. W trakcie tych zapasów pojawia się ochroniarz, przed dwoma laty jeszcze chluba śródmiejskiego OMONu, teraz niestety zepchnięty do szpitalnego stróżowania. Zapala papierosa, przygląda się uważnie człowiekowi w zafajdanej piżamie , dziwi się łaskawemu postępowaniu koleżanek. Gdyby to od niego, Stiopy, zależało, całą sprawę załatwiłoby się w pięć minut, bez żadnego hałasu. Podchodzi i ostrzegawczo potrząsa poręczą łóżka.- Starik, przestałbyś się wiercić jak gówno w przerębli. – Ależ Stiopa , jakże to tak , jak tak można-mamrocze z przyganą salowa. Jej zachwycony wzrok zadaje kłam słowom. Krótkie olśnienie pośród brudnej roboty : oto mężczyzna jak malowanie, zdrowy, przystojny, a przy tym dowcipny. I zaraz szybki ,bystry rzut oka na leżącego : szczęściem to już potrwa najwyżej dwa ,trzy dni.

Doprawdy ? Teraz przecież Rzeźnik, osłabiony szachową gorączką ,ale jeszcze ciągle trzymający się na nogach, pokonany ale niezniszczalny ,złorzeczając pod nosem wychodzi z klubu. Władimir Siergiejewicz, po krótkiej chwili wahania odważył się mu towarzyszyć.

Musieli śmiesznie wyglądać . Oto herkulesowej postury Sancho Pansa, prawdziwy okaz zdrowia, o pół kroku za Don Kichotem, pomniejszonym przez biologię ,skurczonym przez strapienie. Pansa - Wołodia wczuwał się w podły nastrój Don Maestra . Jakoś mu współczuł, ale nie już nie mógł zaradzić. Trudno byłoby Rzeźnikowi powiedzieć, że to wszystko zdrowia nie warte. Rzeźnik przecież nie uwierzyłby w to, co Wołodia sam nie wierzy.

Z pomocą przyszedł im niepisany, familiarny obyczaj, który pozwala zwyciężonemu lżyć kolegę -zwycięzcę. Głębia myśli natrafia bowiem czasem na opór materii, jakże mizernej i pospolitej. Trywialny przypadek nie pozwala orłowi wznieść się do lotu , oryginalna idea tonie wśród podstępnych rozlewisk i bagien. To właśnie dzisiaj spotkało Rzeźnika, w dodatku z kimś takim ( pogardliwe spojrzenie przez ramię ). Gdyby nie te dziecięce wybiegi ze schowaną za wzgórzami konnicą, ( tchórze zawsze się kryją po kątach ) , gdyby nie bezbrzeżna nuda oczekiwania, to Wołodię można było przewrócić, ot tak jednym paluszkciem ( zylasta ręka Rzeźnika zbliżyła się do torsu Władimira Siergiejewicza i zaraz odbiegła : konserwowego mięsa nawet nie warto tykać). – A swoją drogą, pewno już to wszystko nieraz grano ? Ktoś to dawno wymyślił ? – w głosie Rzeźnika pogarda mieszała się ze spóźnioną ciekawością . – Owszem, już dawno temu tak grywano. Niby nic specjalnego, ale jednak...- przytaknął Władimir .- Tak też myślałem – skrzywił się Rzeźnik. Odwrócił się i uważnie, bez sympatii oglądnął Wołodię od stóp do głów. Że też na takich pracusiów kary boskiej nie ma. Nawet w Rosji nie można już grać w prawdziwe szachy, świat się kończy.

Władimir dreptał za swoim towarzyszem pokorny i trochę zawstydzony. Zamiast smakować zwycięstwo nad Rzeźnikiem , frasował się ,że przywalił i zamulił starymi biuletynami umysł tak twórczy. Nie opuszczało go szczególne poczucie winy. Wprowadzonemu w pułapkę Rzeźnikowi wydawało się ,że gra z losem, podczas gdy ten już z góry był dany. Ale w czasie gry nie można było tego powiedzieć, tak jak teraz niczego już nie można było cofnąć. Wołodia tłumaczył sobie ,że jako posłaniec i egzekutor carskiego wyroku pojawił się po prostu w fatalnym dla Rzeźnika miejscu i czasie. Tak być musiało. Wyrok był przecież wcześniejszy od egzekucji, przychodził z góry koniecznie i bezlitośnie. A kto zasłania oczy skazańcowi, to już właściwie wszystko jedno.

Pod sklepieniem niskiej bramy przeszli przez podwórko, żeby całkiem nieoczekiwanie dla Wołodii ,znaleźć się na rogu Newskiego Prospektu. Przewodnik wskazał drogę do dworca i nagle ,bez jednego słowa ,uścisnął rękę Władimira. - Do zobaczenia – zdążył wybąkać zaskoczony Wołodia. – Tak się tylko mówi – skrzeknął Rzeźnik. I jak stał, tak się roztopił w mlecznej zupie od wieków uchodzącej za skarb jego miasta. Władimir zakreślił się wokół własnej osi, jakby czegoś bezradnie szukając. Szok nagłego rozstania. To już wszystko ? To tylko tyle ? Niewidzialna nić łącząca dwóch przechodniów zerwała się nagle. Władimir Siergiejewicz, , jeszcze przed chwilą wpatrywał się w Rzeźnika i na swój sposób, milcząco go wspierał. Pożałował więc , że nić okazała się taka wątła : przecież chyba nigdy się już nie zobaczą. Zaraz jednak dał się ponieść irytacji. Stary cudak ,zawsze taki był. Nie dziwota ,że dożywa swoich dni sam jak palec. Wystarczyło dać mu mata. Po co było zagadywać, w kaprawe ślepie zaglądać, przyjaźnie gawędzić. I tak, jak widać, nie umiał tego docenić. A przecież , oprócz Wołodii i jeszcze paru rówieśników, mało kto już Rzeźnika pamięta. Gdy go zabraknie, nikt tego nie zauważy. Obejdzie się i bez skowytu psa. Nawet pies nie wytrzymałby z Rzeźnikiem.

Władimir Siergiejewicz , jak poprzednio, szedł bardzo wolno. Przyspieszył kroku gdy tylko przypomniał sobie o pociągu odchodzącym o dwudziestą drugą jedenastą . Odruch nagły i niespodziewany, bo przecież można by zaczekać na szachową kompanię. Ale złość na

Rzeźnika przenosi się na innych. Lepiej wracać samemu i wreszcie odpocząć od tego całego towarzystwa. Mimo późnej pory jest parno ,w powietrzu wisi burza . Na peronie miota się jakiś obywatel ze zmierzwioną, dymiącą głową. Wskakuje w ostatnim momencie do pociągu , tuż za Wołodią . – Do-okąd jedziemy ? – pyta przemagając trud artykulacji. – Przed siebie – odburkuje Władimir, niegrzecznie , ale zgodnie z logiką ( logikę zawsze myli z prawdą życia, to silniejsze od niego ). Ta odpowiedź nie wystarcza kudłatemu. Rozpytuje dalej, u innych. Draży drażliwy temat, nie poddaje się. W końcu ktoś litościwy wymienia nazwę stacji docelowej. Zdaje się ,że nie jest to dobra wiadomość, bo w kudłatym nagle wzbiera żal do świata i ludzi.- Py -ytałem, py -ytałem, a on...Ech, zły to musi być człowiek ! Palec kudłatego oskarżycielsko podnosi się w stronę Władimira Siergiejewicza , ale w tym samym momencie opada : za wielki to ciężar , gdy się piło przez okrągłą dobę. Podróżny otumaniony kolejową pomroką, ciężko zwała się w korytarzu na podłodze. Nikomu to nie przeszkadza, z sympatii wydziela mu się tam sporo miejsca. Wychodząc na moskiewski peron pasażerowie jeden po drugim przejdą nad leżącym. Zrobią to z wprawą i bez przykrości. Znajomo pachnące, słodko ukołysane ciało krajana , to w końcu nie czyjeś bezimienne zwłoki, które co kilka lat, w godzinie szczytu, zdarza się przydeptywać u wyjścia z Białoruskiego Dworca.

Kłopot z innym, niechcianym towarzyszem podróży. To nie do wiary, ale znów się przyczepił. Cień Rzeźnika, szarobury i pokraczny, wdrapał się za Wołodią do wagonu, przesłonił widok za oknem, ucałił się okiennej framugi i już do końca nie odpuścił. Władimir Siergiejewicz tylko przez chwilę próbował się z nim mocować. Przed natrętem nie masz obrony. W tym rozpanoszeniu cienia wyczuwało się całą przekorę Rzeźnika. Rano wydawał się doszczętnie zapomniany, a po południu jak gdyby nigdy nic pojawił się na sali turniejowej. Raptem przed kwadransem odszedł bez pożegnania, by teraz wychynąć znowu na powierzchnię niczym wieżyczka łodzi podwodnej. Wyglądało to na nieproszoną eskortę. Gdybym naprawdę potrzebował towarzystwa – zezłościł się znowu Władimir – to ten cudak Rzeźnik byłby chyba ostatnim wybranym do kompanii. Ale tutaj role zostały odwrotnie rozdane. Inicjatywa należała do Rzeźnika, tak jakby on o wszystkim decydował. Dla jakichś sobie tylko znanych powodów podejrzanie mocno przylgnął do Władimira Siergiejewicza. Nie było w tym nic przyjemnego. Zalaatywało odorem długo nie zmienianej, kawalerskiej bielizny. Cień , tak samo jak przedtem sam Rzeźnik, pozostawał milczący. Jaki w tym sens, jaki z tego pożytek ? Władimir Siergiejewicz poczuł się tak , jakby go włożono razem z Rzeźnikiem do oceanicznej kapsuły. Niewygodnie ułożeni, wzajemnie sobie zawadzając, kołysani falami, płyną gdzieś w nieznane. *Bielejet parus adinokij*...No, bez przesady, to zupełnie inna bajka. Żeby poprawić widoczność Wołodia machinalnie sięgnął ręką ku oknu. Przetarł szybę ,ale szkło pozostało matowe.

Zaraz po przyjeździe czekało Władimira Siergiejewicza całonocne stróżowanie w szkole. Kto wie zresztą czy się tylko na tym jednym skończy, bo zmiennik na początku tygodnia przywykł ostro zapijać. Dlatego najpierw od razu trzeba sprawdzić jak z sikorkami. Czarny czy łuskany słonecznik Trofimowna im dała ? Czy może, z głupoty, tak jak kiedyś osoloną słoninę ? Jeśli się zagapiła, to znowu zaczną pukać w szyby , obsiadą stół w altance . Oby tylko w ucieczce przed kocurem nie wtargnęły do domu, nie rozpanoszyły się w środku, bo wtedy wygonić trudno. I jeszcze Marfa Pietrowna ze swoim butwiejącym dachem. Żeby go załatać, trzeba się wdrapać na sam szczyt. A niby jak, skoro dachówki podobne do rybich łusek. Mimo wszystko Władimir poczuł przypływ energii . Da radę . Po dzisiejszym zwycięstwie żaden trud mu nie straszny. Odetchnął głębiej, rozprostował kości.

I właśnie wtedy na korytarzu pojawiła się wesoła kompania. Trudno oczom uwierzyć : chudy Waśka, kolega ze szkolnej ławy ,od lat nie widziany, a obok niego sami szachiści -

Iwan, który do Ameryki za chlebem pojechał, dziwak Stiepulko, sędziwy moskiewski maestro Czistiakow, bracia Derezuccy, nawet Miszka Szteinberg, po którym przecież niby dawno słuch zaginął. Skąd oni wszyscy tutaj? Strojąc jakieś błazeńskie miny tłoczyli się z nosami przylepionymi do szyby, krzyczeli coś jeden przez drugiego. Jeszcze chwila, a obalą drzwi i wpadną hurmem do przedziału. Władimir Siergiejewicz postanowił interweniować. Podniósł się i ruszył w stronę korytarza. Po drodze zawadził o siedzącą naprzeciw kobietę. Krzyknęła głośno, a on zamiast przeprosić, zwałił się całym ciałem na ławkę roztrzając jeszcze innych. Odskoczyli przestraszeni. Ktoś przeklął, potem nagle zamilkł. Zwaliste ciało Władimira Siergiejewicza zatarasowało przejście i ogromniało w oczach.

Niezręczna, trzeba przyznać, sytuacja. Towarzysze podróży zastygli w oczekiwaniu, co się dalej zdarzy. Skoro człowiek upadł, to miał jakieś powody. Wstanie jak mu Bóg pozwoli. A jak nie wstanie, to znak, że tak być musi. Z szacunku dla leżącego nikt mu nie przeszkadzał. Nikt też już nic nie mówił. Ciało trwało nieruchomo, jakby na dłużej uspione w niewidocznej głębokiej niszy. Czasu i przestrzeni nigdy w tych stronach nie brakowało. Wreszcie przez tłum gapiów przedarł się młody mężczyzna w brązowej, skórzanej marynarce. - Połóżcie go na ziemi – powiedział. Stracili wieloryba, tam gdzie kazał, a doktor przykucnął nad nim i poszukał pewności. Miał sprawne i fachowe ruchy. Poza tym jednym ostatnim. Wstał, rozłożył ręce w bezradnym geście: *Wsio*.

Wiadomość o zdarzeniu dotarła na Gogolewski Bulwar w poniedziałek, niezadługo do rozpoczęcia kolejnego turnieju gry błyskawicznej. Klucznica klubu, Szura Nikołajewna załapała się łzami. Dwaj współpracownicy starali się ją pocieszyć. Jeden sam zrozpaczony, drugi popatrując niecierpliwie na zegarek - jeszcze chwila tego lamentu, a rozgrywki naprawdę się opóźnią. Co tu robić? Nie będzie dzisiaj dyrektora, nie ma kto przemówić. Zresztą mowa przed turniejem? Na sali jest prawie setka ludzi, od razu wszystko zagłuszą. Więc chociaż przynajmniej minuta ciszy? Zanim się zdecydowali na sensowny wariant, pewien zniecierpliwiony żartowniś uderzył w gong w zastępstwie Szury. Ludzie rzucili się ku stolikom. Mocno wsparci o zagłówki krzesel, uruchomili nad szachownicami wprawne dłonie. Rytmiczny, jednostajny ruch kilkudziesięciu korpusów, przód – tył, przód – tył, obywatel się bez komendy. Na tym olbrzymim statku galernicy w ogóle jej nie potrzebują, sami wybierają rytm i wyznaczają kierunek. Po twarzach widać, że prawie każdy bierze się na sposób, by przemknąć nad rafami i uniknąć znieawidzonej końcówki.

Tak to wygląda z bliska. Inaczej z miejsca, w którym się znalazłeś. Najpierw znikają rozgorączkowane twarze majtków. Szybko maleją głowy pochylone nad wiosłami. Potem ustaje rozgwar płynący z pokładu. Gdy oddalić się od burty, to co wydawało się okrętem, pokazuje się jak zwyczajne, zużyte już czółno. Nierówno, nerwowo prowadzone, stara się trzymać się kierunku wytyczonego na starych mapach. Inna marszruta nie byłaby bezpieczna, wody podobno nieraz zamykały się nad poprzednikami. Kamera ujmuje cały trakt z wysokiej panoramy. Czółno, chociaż mało zwrotne, porusza się, a więc chyba nadal kierują nim ludzie. Do czasu. Łupinka, przed chwilą jeszcze widoczna na ciemnym graficie wody, dryfuje ku jasnym oparom. Zatraca kontury, zwolna rozpływa się w mglistym kożuchu, po krótkiej walce daje się mu cała zagarnąć. Znikający punkt w niewidocznej przestrzeni.

Nie trzeba się bać. Nadciąga cisza, dobroczynna otulina. Białło białło.